

Andrzej Pstrokoński - prawdziwa Legenda

Czwartek, 29 grudnia 2022 r. godz. 12:47, źródło: Legionisci.com / Legiakosz.com

Andrzej Pstrokoński to najbardziej utytułowany koszykarz Legii Warszawa w przeszło 90-letniej historii legijnej sekcji. Z naszym klubem związany był związany przez całą karierę zawodniczą, później w Legii pracował jako trener, a także na innych stanowiskach w klubie. Przyczynił się do zdobycia wszystkich, jak do tej pory, siedmiu tytułów mistrza Polski przez "Zielonych Kanonierów".

Pogrzeb Andrzeja Pstrokońskiego odbędzie się 3 stycznia (wtorek) o godzinie 12.00 w Katedrze Polowej Wojska Polskiego przy ul. Długiej 13/15.

Po mszy żałobnej, na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, nastąpi złożenie urny z prochami zmarłego.

{VIDEOAD}

Pstrokoński zmarł 24 grudnia 2022 roku około godziny 11, w wieku 86 lat. W ostatnich miesiącach przebywał w domu opieki dla seniorów w jednej z podwarszawskich miejscowości. Stan zdrowia pana Andrzeja lekarze uznawali za bardzo dobry, nie licząc postępujących problemów z pamięcią. Sytuacja uległa pogorszeniu kiedy nie chciał jeść. Delegacja sekcji koszykówki odwiedziła pana Andrzeja przed sezonem 2022/23, wręczając m.in. koszulkę meczową. Niestety, w sezonie 2022/23 stan zdrowia nie pozwolił już najbardziej utytułowanemu legioniście, obejrzeć na żywo meczu naszego klubu. Warto poświęcić trochę czasu na poznanie osoby tak bardzo zasłużonej dla naszego koszykarskiej Legii. Jednocześnie zachęcamy do lektury biografii pana Andrzeja, która została wydana w 2017 roku.

Wychowany przy ulicy Szopena

Pstrokoński urodził się 28 czerwca 1936 roku w Warszawie. "Ojciec, absolwent uczelni Wawelberga, pracował w magistracie. Nie zarabiał dużo, ale wystarczająco, by mnie z matką utrzymać. Później w czasie okupacji w 1942 roku urodził się mój brat Janusz. Mieliśmy ładne trzypokojowe mieszkanie przy ulicy Szopena (pisownia przedwojenna) pod numerem 17. Na parterze tego domu mieszkali dziadek z babcią" - czytamy w biografii Andrzeja Pstrokońskiego zatytułowanej "Kosz pełen wrażeń", którą pan Andrzej napisał sam, bez pomocy dziennikarzy.

Wojna i Powstanie Warszawskie

W momencie wybuchu II Wojny Światowej, "Pstroka" miał zaledwie trzy lata. O dzieciństwie w czasach wojennej pozozi czytamy co nieco we wspomnianej biografii. "Był 1 lutego 1944 roku. Szliśmy jak co rano do parku Ujazdowskiego. Ja z moim kolegą 'Rudym' biegliśmy przodem, a za nami 50 metrów szła mama z wózkiem, w którym był młodszy brat Januszek. Dobiegliśmy do rogu Alej Ujazdowskich i Chopina. Zatrzymaliśmy się, ponieważ nie wolno nam było przechodzić po ulicy, po której jeździły tramwaje. Czekaliśmy na moją mamę i nagle usłyszeliśmy głośno hamujące samochody. Nieoczekiwanie padły strzały. Spojrzeliśmy w tym kierunku i zobaczyłem, jak do jednego z aut podbiegli mężczyźni, ktoś się nachylił i znów padły strzały. W oknach na rogu Chopina pokazali się Niemcy. Po drugiej stronie ulicy biegł w kierunku ulicy Mokotowskiej mężczyzna z zakrwawioną szyją. W biegu okręcał się szalikiem. Uciekał, mimo że Niemcy walili w jego kierunku z kilku okien, a inni wybiegli z bronią i też strzelali. Przebiegł koło nas. Matka krzyczała rozpaczliwie, żebyśmy uciekali. 'Rudy' zwał, a ja ze strachu nie mogłem ruszyć. Dopiero po chwili zacząłem i ja uciekać. Wpadliśmy do domu. Za parę minut pojawiła się cała chmara Niemców. Obstawili całą naszą ulicę Szopena. Kazali pozamykać bramy. Przez cały dzień kontrolowali mieszkania i nie wypuścili nikogo. Był to zamach na kata Warszawy, Franza Kutschere" - wspominał Pstrokoński.

Kilka miesięcy później wybuchło Powstanie Warszawskie, w którym oficjalnie, ze względu na wiek, nie mógł brać udziału. Ale jak dobrze wiemy, warszawskie dzieci nieświadome zagrożenia, angażowały się - czasem zupełnie przypadkowo - w walkę z okupantem. "Gdzieś czwartego dnia rozlokowali się u nas harcerze i ja się z nimi zaraz zaprzyjaźniłem. Była to poczta powstańcza. Biegali wszędzie z rozkazami. Było ich kilku, wszyscy starsi ode mnie o 2-3 lata. Po drugiej stronie na tym samym piętrze zainstalował się szpital polowy. (...) Pewnego dnia któryś z nich wpadł do pokoju, gdzie wszyscy siedzieliśmy, i krzyknął: 'Powstańcy znaleźli marmoladę z buraków w blokach!'. Wszyscy się zerwaliśmy. Problem w tym, że trzeba było przebiec ulicę Piusa, czyli dziś Piękną, ostrzeliwaną z domu telekomunikacji na rogu Marszałkowskiej i Piusa, tzn. Małej PAST-y. Ten krótki, bardzo niebezpieczny odcinek był kontrolowany przez powstańców. Jeden z nich stał i krzyczał: 'Nie przechodzić, ostrzał!'. Na jego zezwolenie trzy, cztery osoby mogły ten odcinek przebiec i tak przez cały dzień. Parę osób zginęło, a więcej było rannych. Staliśmy we trzech, a z nami jakiś wysoki pan. Powstaniec zarządził: 'Pan pędzi, oni za panem'. Pada sygnał: 'Biec!'. Biegnę, ile sił mam w nogach. Nagle poczułem na sobie coś ciepłego. Spojrzałem, a pan, który nas prowadził, przewrócił się i kątem oka dostrzegłem, że jakby nie miał głowy. Dobiegłem i złapał mnie powstaniec po drugiej stronie. 'Gdzie jesteś ranny?'. Mówię, że nigdzie, ale byłem obryzgan krwią na twarzy i ubraniu. On mi nie uwierzył. Obmacał mnie i kazał iść się umyć. Stałem przy ścianie i poczułem, że z moją nogą jest coś nie w porządku. Dotknąłem kolana, a stamtąd ciekła krew. Miałem postrzał nad kolanem. Zrobiło mi się słabo. Dobiegł do mnie ten sam powstaniec i powiedział do moich kolegów: 'Trzeba go przenieść do szpitala, chłopaki!'. (...) Na ręce wziął mnie inny powstaniec i wszyscy wróciliśmy na Szopena. Nikt nie strzelał, jak przebiegaliśmy z powrotem. Teraz już kuśtykającego zabrali mnie harcerze i dostaliśmy się do szpitala. (...) Lekarz założył mi na ranie cztery klamerki i wydawało się, że wszystko będzie w porządku. (...) Rana goiła się bardzo długo i dopiero podczas pobytu w Szwajcarii w 1946 roku zakończyło się jej leczenie" - opisywał jedną z sytuacji w sierpniu 1944 roku.

{YOUTUBE=pg8wluBqiLs}

Początki przygody z koszykówką

Koszykarskie początki Pstrokońskiego miały miejsce na początku lat 50-tych, czyli kilka lat po zakończeniu wojny. "Moja zabawa z koszykówką rozpoczęła się od tego jak poszedłem na początku lat 50. na mecz na kortach Legii, w którym grała akademicka drużyna Brazylia. W ich zespole grał Brito, który umiał więcej niż nasi gracze i bardzo mi się spodobał. Zaczęliśmy naśladować go w parku szkolnym. Przy boiskach wypożyczało się wtedy piłki i tam grała cała grupa osób, która później trafiła do Legii i Polonii w I lidze. W międzyczasie jako uczniowie podlegaliśmy znanemu profesorowi Paruszewskiemu, który w MDK utworzył grupę młodych koszykarzy w wieku 13-15 lat. Reprezentowaliśmy Imkę, później MDK przy Konopnickiej. Na tej sali zaczynaliśmy ćwiczyć. Rozegraliśmy tam parę meczów, nawet raz byliśmy na wyjeździe w Łowiczu. Grupa z MDK zapisała się do Legii i stanowiła jakieś 60% grupy w Legii. W Legii nie zawsze wtedy było z kim trenować, brakowało trenerów. Ćwiczyliśmy czasem ze starszą od nas grupą, która zdobyła wicemistrzostwo Polski juniorów, co było wtedy sporym sukcesem" - opowiadał Andrzej Pstrokoński przed dziesięcioma laty.

"W latach 50. były prowadzone rozgrywki A, B, C klasy, a więc, jak widać, bardzo dużo młodzieży po strasznej wojnie uprawiało tę dyscyplinę sportu. Pierwsze oficjalne mecze na początku lat 50. rozegrałem w Legii w A klasie. (...) W 1953 roku grałem w A klasie, wtedy nastąpiła przygoda z trenerem Władysławem Maleszewskim. Trener Wołodźka grał z rezerwami Polonii i sam też grywał na boisku. W pewnym momencie wyrwałem mu piłkę z koźła i go mijalem, nie mógł mnie zatrzymać i się przewrócił. Przewracając się, złapał mnie z tyłu za nogę. Poleciałem na parkiet i trzasnąłem twarzą w podłogę. Z nosa pociekło mi trochę krwi i bolało mnie czoło, miałem guza. Zerwałem się z podłogi i z pięściami pobiegłem do Wołodźki. Przeklinałem i staliśmy do siebie twarzą w twarz. I tu nastąpił zupełnie dziwny moment. Zamiast na mnie wrzasnąć i opieprzyć, to trener wziął mnie w ramiona. Popatrzył na mój rozkwazony, zakrwawiony nos i powiedział: 'Będziesz grał w koszykówkę'. Zbaraniałem, ale ponieważ przytulił mnie do siebie, to i ja go objąłem. I tak staliśmy przez chwilę na środku boiska. Od tego czasu byłem chyba jego ulubieńcem" - czytamy w książce pana Andrzeja. W roku 1953 zdobył mistrzostwo Warszawy juniorów za które otrzymał dyplom.

Klubowe wydawnictwo z 1966 roku przypomina legijne początki Pstrokońskiego następująco: "Przybył do Legii w 1953 roku jako niespełna 17-letni chłopiec. Mimo iż po pierwszym treningu zaproponowano mu zmianę dyscypliny sportu, nie ustąpił i usilną pracą treningową doszedł bardzo szybko do wysokich wyników sportowych. Już w dwa lata później wszedł na stałe w skład pierwszej drużyny jako pierwszy wychowanek WKS Legia".

Dziecko Warszawy

Do pana Andrzeja przylgnęło określenie "dziecko Warszawy", do którego po kilkudziesięciu latach odnieśli się (na transparencie)

kibice Legii. Jak doszło do samego "przydomku"? Otóż trener Maleszewski powołał reprezentację na mecze z drużyną Seattle Buchan's Bakers, które odbywały się w dniach 23 i 23 września. Wśród debutantów znaleźli się Grzybowski z warszawskiego AZS-u oraz Andrzej Pstrokoński z Legii. "Mieszkaliśmy we dwóch w hotelu Warszawa. Trenowaliśmy na stadionie [Dziesięciolecia - przyp. B.], ale na dwa dni przed meczem dopiero układano podłogę sprowadzoną z Łodzi. Jeszcze w przeddzień meczu trenowaliśmy na jeden kosz, bo drugą połowę kończono układać. Tuż przed meczem była odprawa i ja się załapałem do dwunastki, a Grzyb nie. Graliśmy tam dwa mecze, dzień po dniu. Tłum 20-25 tysięcy widzów siedział na trybunach, a moich znajomych ze szkoły, ulicy, dzielnicy, parku nikt nie policzył, ale były ich setki, o ile nie grubo ponad tysiąc. Reprezentacja grała nieźle, ale Amerykanie jednak byli lepsi. Pierwszy mecz przegraliśmy" - wspominał Pstrokoński. Przed drugim meczem już po rozgrzewce "Wołodźka" podał skład pierwszej piątki, a w niej nazwisko Pstrokońskiego. "Rany boskie, nogi się pode mną ugięły. (...) Poklepał mnie po plecach i powiedział: Graj tak, jak potrafisz. No i pchnął mnie na boisko. Zagrałem rzeczywiście bardzo dobre spotkanie. Swoje wrzuciłem. Walczyliśmy do końca, nieznacznie przegrywając. Po meczu wszyscy mi gratulowali, bo szczeniak wlaź na boisko i dorównał Amerykanom. Następnego dnia prasa ochrzciła mnie jako 'Dziecko Warszawy', które rozegrało wspaniały mecz. Ksywa przetrwała przez parę lat" - wspominał "Pstroka".

Pstrokoński w zwycięskim meczu przeciwko Realowi Madryt w ćwierćfinale Pucharu Europy - fot. Eugeniusz Warmiński

200 meczów w reprezentacji

W reprezentacji Polski zagrał równo 200 meczów w ciągu jedenastu lat. Większość w pierwszej piątce, a dodajmy, że przed laty zmiany nie były tak częste jak ma to miejsce obecnie. "Obsłużyłem pięć mistrzostw Europy - Sofia [1957, 7. miejsce], Istambuł [1959, 6. miejsce], Belgrad [1961, 9. miejsce], Wrocław [1963, 2. miejsce] i Moskwa [1965, 3. miejsce]. Jestem dumny również z tego, że grałem na dwóch olimpiadach - w Rzymie 1960 roku i Tokio 1964 roku - zawsze w ósemce najlepszych zespołów świata. Ukoronowaniem tego było powołanie mnie do reprezentacji Europy. Wszystko to zawdzięczam dwóm wspaniałym ludziom - trenerowi prof. Tadeuszowi Ulatowskiemu, który rozbrykanego chłopaka powołał w 1954 roku (w wieku 18 lat) do pierwszego zespołu Legii, i Władysławowi Maleszewskiemu, który powołał mnie do reprezentacji Polski i jego słowa się sprawdziły. Warto było rozbić sobie nos o parkiet" - podsumowywał przygodę z reprezentacją.

Wicemistrzostwo w pierwszym sezonie

Debiut w pierwszym zespole Legii miał miejsce w roku 1954. "Latem na kortach Legii odbywała się wtedy Spartakiada, grały Gwardia, AZS, CRZZ. Na boisko wpuścił mnie trener Ulatowski. Tymczasem Józef Żyliński, były reprezentant Polski w koszykówce, późniejszy trener ŁKS-u, wtedy już starszy pan, mówi do mnie '... jak się ruszysz w tę stronę, to oberwiesz gnoju jeden'. Trochę się wystraszyłem, ale po chwili minąłem go raz i drugi, zdobyłem punkty, a on o mało nie zabił mnie spojrzeniem. Od razu nauczyłem się, żeby się nie bać na boisku" - wspominał w rozmowie z 2012 roku. W pierwszym sezonie, w którym Pstrokoński wchodził już na parkiet, Legia zdobyła wicemistrzostwo kraju. "Po zakończeniu rozgrywek odbyła się uroczysta kolacja w hotelu Polonia. Wszyscy zebraliśmy się w holu tego hotelu. Byłem w pożyczonej marynarce, bo swojej jeszcze nigdy nie miałem, a tu trzeba było wyglądać elegancko. Czekaliśmy. Miał przybyć generał Popławski, wiceminister obrony narodowej. Przyszedł, zaprosił nas na specjalnie wynajętą salę. (...) Wszyscy dostaliśmy radioodbiorniki i w wygłoszonym przemówieniu oświadczył, że gdyby było mistrzostwo Polski, to otrzymalibyśmy telewizory. Jak przyniosłem radio do domu, to najbardziej ucieszył się z niego ojciec. Wtedy trudno było kupić radio, a telewizor - wręcz niemożliwe" - wspominał w biografii. Mistrzem z kolei został Lech Poznań, który wówczas występował jako Kolejarz Poznań. "Koszykarze wojskowi przegrali tylko jedno spotkanie w drugiej rundzie rozgrywek - z Wisłą w Krakowie, i to dopiero po czterech dogrywkach. Jak się później okazało, ten ostatni mecz zadecydował o losach tytułu mistrzowskiego. Zdołała go drużyna Kolejarsza Poznań lepszym stosunkiem koszy. Decydujący o tytule mecz z Gwardią rozegrany w Krakowie w dniu 13 lutego miał wyjątkowo dramatyczny przebieg. Ostateczne zwycięstwo krakowian było bardzo szczęśliwe, bowiem po wyrównanej i zaciętej grze w końcówce wojskowi prowadząc 45:43 przechwycili piłkę, a do końcowego gwizdka sędziego brakowało zaledwie 20 sekund. Zespół CWKS starał się utrzymać piłkę, grając na czas. Zdenerwowani gwardziści ostro atakowali wojskowych chcąc zdobyć piłkę. Po jednym z ostrych wejść Wójcika z Gwardii sędzia przerwał grę i ukarał przewinieniem osobistym... poszkodowanego Golimowskiego, co doprowadziło do wyrównania stanu meczu na 45:45 i stało się przyczyną pechowej porażki reprezentantów CWKS. Porażka ta była tym bardziej przykra, ponieważ odebrała koszykarzom z Łazienkowskiej tytuł mistrza Polski" - pisano w księdze na 50-lecie Legii.

Złoto rok później

Rok później, w sezonie 1955/56 koszykarska Legia zdobyła pierwsze w historii mistrzostwo Polski. 19-letni Pstrokoński grał już w zespole, ale nadal był rezerwowym. "Drużyna CWKS opierała swą grę na dwóch doskonałych środkowych napastnikach: Kamińskim i Pawlaku, którzy zdobywali w każdym niemal meczu lwią część punktów. Trzecim środkowym był Appenheimer świetnie uzupełniający

tę dwójkę. Zawodnikami prowadzącymi grę byli: groźny strzelec z dystansu - Bednarowicz, doskonale współpracujący ze środkowymi - Żochowski, świetny w obronie Golimowski oraz wszechstronny i bojowy M. Popławski. Siódmką tę stanowiącą trzon zespołu uzupełniali bardzo dobry technik Majer, koszostrzelny Lubelski, bojowy Z. Popławski, utalentowany Pstrokoński i ambitnie walczący w obronie Buczak" - relacjonowano w klubowym wydawnictwie z 1966 roku.

O krok od medalu IO w Rzymie

Andrzej Pstrokoński jeszcze pół wieku po wydarzeniach z roku 1960, nie mógł odżałować braku medalu na Igrzyskach. A droga do udziału w Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie dla naszej koszykarskiej reprezentacji nie była łatwa, ale ostatecznie po udziale w ostatnim przedolimpijskim turnieju, Polacy zdobyli kwalifikację. "Grały w nim drużyny z całego świata. W grupie eliminacyjnej pokonaliśmy wszystkie drużyny. Pogrom Australii 115:54. Wygraliśmy z Grecją po ciężkim meczu 77:76, pokonaliśmy Izrael 78:53 i Szwajcarię 88:45. W grupie wyżej przegraliśmy z Jugosławią 69:71 i musieliśmy wygrać z Węgrami, niedawnym mistrzem Europy z 1955 roku. Mecz był bardzo ciężki, wytrzymaaliśmy nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, wygraliśmy 62:60. Czekaliśmy na wynik meczu Węgry - Jugosławia. Niestety, Węgry pokonały Jugosłowian i my zajęliśmy trzecie miejsce. Musieliśmy walczyć o ostatnie miejsce z trzecią drużyną drugiej grupy finałowej. Graliśmy z Belgią, którą pokonaliśmy 65:58. Będziemy na OLIMPIADZIE. I tu pojawił się problem. Do olimpiady było jeszcze prawie dwa tygodnie. My mieliśmy bilety do Polski na następny dzień. Znów więc skracał się czas o jeden dzień. Przylecimy do Polski i co? Telefony do ministra Reczka się urywały. Pewnie żałował, że nas wtedy wysłał do Bolonii. Koszty rosły. My już mieliśmy stroje olimpijskie. Następnego dnia zapadła decyzja. Mieliśmy zostać dwa dni w Bolonii i potem przemieścić się do Rzymu do wioski olimpijskiej" - relacjonował pan Andrzej.

Wypełniona po brzegi hala Gwardii podczas historycznego występu Legii z Realem, w którym Pstrokoński zdobył 20 pkt. - fot. Eugeniusz Warmiński

Nieodżałowany błąd Olesiewicza

Na samych Igrzyskach Polacy byli o krok od medalu, i to największe pretensje miał "Pstroka" do trenera Zygmunta Olesiewicza. By awansować do półfinału, Polacy musieli pokonać Brazylię. Kiedy wszystko szło po myśli biało-czerwonych, nasz zespół prowadził różnicą dziesięciu punktów, Olesiewicz w szatni postanowił posadzić na ławce najlepszego w naszym zespole - Pstrokońskiego. "Może nawet o to, że nie mam olimpijskiej emerytury (wtedy jej nie było i nikt o tym nawet nie pomyślał). (...) To był chyba mecz mojego życia, nie dość, że musiałem kryć jednego z najlepszych brazylijskich graczy, mierzącego grubo ponad 190 cm, to jeszcze w tym dniu naprawdę mi szło. Na siedem minut do przerwy trafiłem do kosza sześć razy. Razem 12 punktów. Dziś byłoby to 15 punktów (w tym trzy rzuty za 3 punkty). Czarny Brazylijczyk rzucił tylko 4 punkty. Łapie na mnie trzy osobiste, ja mam dwa. Po prostu zaczynamy się perfidnie faulować i bić. On był potwornie zdenerwowany, ja absolutnie spokojny i robiłem to rozmyślnie, żeby go zdenerwować i wyeliminować. Prowadziliśmy i byłem pewien, że ten mecz wygramy i będziemy w czwórce najlepszych drużyn świata. W przerwie w szatni zaczęło dziać się coś dziwnego. Trener zaczął mnie opieprzać, że biję się z tym czarnym chłopakiem. Powiedział: 'Robisz to specjalnie, żeby spaść'. W końcu padły słowa: 'Nie będziesz już więcej grał po przerwie'. Posadził mnie 'Gruby' na ławkę. (...) Na osiem minut przed końcem z boiska zszedł kontuzjowany Janusz Wichowski. Na trybunach siedziała cała gromada naszych trenerów - Władysław Maleszewski, Walenty Kłyszczko, Władysław Pawlak i inni i wszyscy prawie od początku drugiej połowy krzyczeli głośno: 'Zygmunt, wpuść Pstrokę!'. Do Zygmunta te okrzyki dotarły dopiero w samej końcówce i wszedłem na boisko, jak już prowadzili Brazylijczycy. Gdyby Mietek Łopatka był Mietkiem Łopatką z 1963 roku, to moglibyśmy zdobyć medal. Niestety, jak wszedł za Wichowskiego młody, nieopierzony jeszcze i w ogóle bez doświadczenia chłopak, to sobie nie poradził. Po meczu poszedłem do pokoju i się popłakałem. Skończył się nasz sen o medalach, miałem naprawdę o to wielki żal do trenera" - opisywał występ przeciwko Brazylii w "Koszu pełnym wrażeń".

Najlepszy ligowy występ

W 1961 roku, rok po Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie, Legia zdobyła czwarte mistrzostwo Polski. O tytule zdecydował wygrany mecz legionistów z Lechem Poznań, w którym Andrzej Pstrokoński zdobył 43 punkty. Występ ten uznawał za najlepszy na parkietach ligowych w swoim wykonaniu. "To był chyba mój najlepszy mecz w lidze. Mecz odbywał się w Warszawie przy tłumie kibiców. W Lechu grało paru reprezentantów Polski, byli naprawdę bardzo silną drużyną, tymczasem w tym spotkaniu... ja zacząłem się z nimi bawić. Dzisiaj ludzie podziwiają Kobe Bryanta, kilka lat temu Michaela Jordana, mniej więcej w tym stylu grałem wtedy z Lechem. Gdybym się zmobilizował bardziej, to w tym meczu mogłem zdobyć i 50 punktów i więcej, ale wysoko prowadziliśmy, więc nastawienie było inne. Myślę, że to był jeden z najlepszych moich meczów w historii. Takie sztuczki, przekładanie piłki prawą ręką z tyłu na lewą i rzut, wcześniej robiliśmy co najwyżej na treningach. W tym meczu udało się to zastosować w praktyce" - wspominał po latach w rozmowie z LL!

"Mnie krył jeden z najlepszych graczy w obronie, reprezentant Polski, Mieczysław Fręglerski. Już pierwsze minuty pokazały, że jesteśmy dużo lepszym zespołem. A mnie coś ponosiło i rozpocząłem koncert gry. Robiłem wszystko, aby pokazać dobrą koszykówkę. I to był mój majstersztyk. Po prostu cokolwiek zrobiłem, kończyło się koszem. Żał mi się zrobiło Mietka Fręglerskiego, bo jak mnie zaczął kryć blisko, to go mijalem, jak chciałem. Jak się oddalił, to rzucałem mu sprzed nosa z daleka. Wchodziło mi wszystko. Wtedy to znakomity aktor i miłośnik sportu Gustaw Holoubek podszedł do mnie i powiedział: 'To był wspaniały koncert gry w pańskim wykonaniu'. A Wołodźka w szatni tylko podszedł do mnie i całkowicie mokrego od potu przycisnął do piersi, nic nie mówiąc. Ten gest mówił więcej niż tysiące słów" - wspominał Pstrokoński występ przeciwko Lechowi na łamach książki "Kosz pełen wrażeń".

"Po pierwszej rundzie mistrzostw zespół Legii zajmował IV miejsce w tabeli i kiedy w dniu 4 lutego przegrał we Wrocławiu ze Śląskiem, a następnie niespodziewanie uległ stołecznemu AZS, wydawało się, iż nie ma już szans na powtórzenie zeszłorocznego sukcesu. Tymczasem doszło do kilku niespodzianek, po których przed koszykarzami Legii otworzyła się możliwość odzyskania pierwszego miejsca. Trzeba było pokonać w Warszawie drużynę poznańskiego Lecha różnicą większą niż 3 punkty. Pojedynek Legia - Lech ściągnął do hali Gwardii ponad 4 tysiące widzów, żywiołowo dopingujących koszykarzy klubu wojskowego. Mimo bardzo dobrej gry poznaniaków, Legia była w tym dniu nie do pokonania. Cała piątka wykazała świetną dyspozycję, przy czym najlepszym graczem na boisku był Andrzej Pstrokoński, zdobywca 43 pkt. Ostateczny sukces różnicą 25 pkt. (106:81) przyniósł koszykarzom Legii tytuł mistrza Polski na 1961 r." - pisano w klubowym wydawnictwie na 50-lecie. Andrzej Pstrokoński w tym, mistrzowskim sezonie, był najlepszym strzelcem naszej drużyny - zdobył 384 punkty, o 16 więcej od Władysława Pawlaka i o 84 pkt. więcej niż sprowadzony rok wcześniej z Polonii, Janusz Wichowski.

Występ w reprezentacji Europy

Pstrokoński pojechał na Igrzyska Olimpijskie również cztery lata później, do Tokio, ale i tym razem nie zdobył z naszą reprezentacją medalu. O tym, że w tamtym okresie uchodził za jednego z najlepszych zawodników w Europie, najlepiej świadczy powołanie do reprezentacji Europy na mecz z Realem Madryt, również w 1964 roku. "To był zdecydowanie największy sukces dla mnie. Propozycje z NBA trudno nazwać sukcesem, były jedynie propozycjami gry. Powołanie do grona 12 najlepszych graczy Europy było niesamowitą rzeczą. To świadczyło o mojej grze i opinii rywali o mnie" - mówił Pstrokoński dla LL! W samym meczu rozgrywanym 17 maja 1964 roku "Pstroka" zagrał około 12 minut, a reprezentacja Europy wygrała 91:87 (49:38).

Propozycje transferowe z Włoch i USA

W tym samym roku pojawiły się propozycje transferu zagranicznego. "Wracając z Madrytu z meczu z drużyną Europy zahaczyłem o Mediolan, gdzie chciano mnie zatrzymać. Stanković, wieloletni prezes FIBA, który był trenerem we Włoszech chciał, żebym grał u niego. Ale nic z tego nie wyszło, podobnie jak wtedy, gdy dostałem zaproszenie od klubów NBA po meczu Legii z gwiazdami tamtejszej ligi" - mówił w rozmowie dla Legionisci.com. Wyjazd do USA również był niemożliwy. "Po meczu z nimi w Warszawie, Amerykanie zainteresowali się mną i Wichowskim. Jak dostałem zaproszenie, porozmawiałem o tym z trenerem Maleszewskim i on powiedział, że jak najbardziej, trzeba próbować - byłbym pierwszym polskim zawodnikiem w Ameryce. Byłem na ul. Oczerki, w wydziale WSW. Po rozmowie z pewnym pułkownikiem, że we wrześniu muszę być w Nowym Jorku, mam do wyboru 2-3 kluby, bo tak mi napisał Anderson, reprezentant Knicksów... dostałem odpowiedź: 'Paszport jest tu, proszę pana. Pan pojedzie tam, gdzie my będziemy decydowali'. Byłem wtedy podporucznikiem, więc każde nieposłuszeństwo byłoby olbrzymim ryzykiem. Chociaż myślę, że fakt, że byłem wojskowym akurat wtedy nie miał większego znaczenia - po prostu nikomu nie do głowy nie przychodziło, żeby puścić Polaka do zawodowej ligi" - wyjaśniał Pstrokoński.

Mecz przeciwko gwiazdom NBA

W roku 1964, do Polski przyjechały gwiazdy NBA, co było olbrzymim sportowym wydarzeniem. Szczególnie, że w tamtych latach oglądanie występów zawodników najlepszej ligi świata było w naszym kraju niemożliwe. "W Legii dowiedzieliśmy się, że do Polski ma przyjechać drużyna zawodowców ze Stanów Zjednoczonych. To nie drużyna klubowa, ale Reprezentacja NBA. Jak usłyszeliśmy, że na boisko mieli wyjść: Bill Russell, Bob Cousy, K.C. Jones, Oscar Robertson, Tom Lucas (tych znałem z olimpiady w Rzymie), Bob Pettit, Tom Heinsohn, Tom Cobe, to nam włosy stanęły dęba. My jako mistrz Polski mieliśmy pójść na pierwszy ogień. Przerazenie i ogromny niepokój przed kompromitacją. Trenowaliśmy i kombinowaliśmy, jakby z nimi pograć, żeby nie pokazać się jako koszykarze z Trzeciego Świata. Wzmocniliśmy się Jurkiem Piskunem, podnosząc tym samym wzrost pierwszej piątki. O ile pamiętam, to graliśmy bez zmian" - wspomina Andrzej Pstrokoński w swojej książce, w której przypomina, że w pamiętnym meczu w hali Gwardii krył Cousyego. "To nie zwykły zawodnik, a artysta koszykówki. Bałem się, że zrobi ze mnie balona i skompromituje, chociaż w tym czasie byłem graczem o znanym w Europie nazwisku" - dodaje. Po treningu, dzień przed meczem z gwiazdami NBA, cały zespół Legii, w celu rozluźnienia napięcia poszedł wspólnie do knajpy przy kinie Palladium. "Siedliśmy, a trener zamówił butelkę wina i wznosił toast za jutrzejszy mecz. Tego jeszcze nie było. Wypiliśmy tę i jeszcze drugą butelkę. Siedzieliśmy w restauracji ze trzy godziny. Gadaliśmy,

tańczyliśmy i padło hasło: do doju. 'Jutro - powiedział trener - będziecie tak samo rozluźnieni, to i pogracie z tymi Amerykanami, bo to przecież ludzie tacy sami jak wy'" - czytamy w dalszych wspomnieniach dotyczących historycznego spotkania, które jak można się było spodziewać, wzbudziło ogromne zainteresowanie widzów. - Na mecz wyjechałem dwie godziny wcześniej. Cały dzień miałem stracony, ponieważ wciąż dzwonili do mnie znajomi, przyjaciele i kibice, żebym załatwił jakieś wejściówki. To jest niemożliwe. Nie mogę wprowadzić nawet rodziców. Podjeżdżam pod Halę Gwardii (Mirowską), a tam zastałem na przeszło godzinę przed meczem tłum ludzi. (...) Takich tłumów na hali nigdy przedtem i nigdy potem nie widziałem. Człowiek przy człowieku. Część kibiców siedziała, a reszta tłoczyła się w każdym miejscu tej reprezentacyjnej warszawskiej hali - wspominał "Pstroka".

"Wyrwałem Amerykanom pierwszą piłkę i sam pogałem na ich kosz. Chciałem rzucić jak najszybciej, i rzuciłem. Spadłem za koszem, ale zdziwiło mnie, że hala milczy. Odwróciłem się, a tu padł nam kosz. To Russell przytknął piłkę do deski i z powietrza od razu przerzucił do Robertsona pod nasz kosz i Amerykanie prowadzili już 2:0. (...) Nagle zaczęliśmy trafiać, zbierać piłki, gonić szybkim atakiem. Do przerwy był to bardzo wyrównany pojedynek. Tak było do końca spotkania. Jeszcze na osiem minut przed końcowym gwizdkiem All Stars prowadziło tylko siedmioma punktami. Dla nas to rewelacja. W samej końcówce po dwóch głupich naszych stratach, bo byliśmy bardzo zmęczeni, gdyż graliśmy bez zmian, a Amerykanie grali wszyscy. Różnica 20 punktów, to można dziś uznać za sukces polskiej koszykówki. Przegraliśmy 76:96" - opisywał historyczny występ.

Wielkie mecze z Realem

Olbrzymim sukcesem Legii w latach 60-tych była wygrana z Realem Madryt w najbardziej prestiżowych rozgrywkach na Starym Kontynencie. W Warszawie legioniści zwyciężyli (4 kwietnia 1962 roku) 73:62. 31 punktów zdobył Janusz Wichowski, z kolei Andrzej Pstrokoński - 20 i lecąc do Hiszpanii mieli realne szanse awansu do półfinału. "Atrakcyjny przeciwnik i stawka meczu ściągnęły do hali WKS Gwardia nadkomplet widzów - i to nie tylko z Warszawy. Było ich około 5000 i należy żałować, że Warszawa nie posiada odpowiedniej hali, gdyż mecz ten chciało oglądać co najmniej 10-15 tysięcy ludzi" - pisano w klubowym sprawozdaniu.

"Wygwizdany" przez sędziów

Rewanż rozegrano 15 kwietnia w stolicy Hiszpanii. "Mając taką zaliczkę przed wyjazdem do Madrytu to było coś. A przecież ten Real zdobył potem Puchar Europy... Ale wróćmy do rewanżowego meczu z nami. Real celowo zagrał z nami w małej salce, mając do dyspozycji ogromną halę. Tak się nas wystraszyli, że przenieśli mecz do swojej salki treningowej. Ja grałem w tym meczu około siedmiu minut. W pierwszych minutach spotkania dwaj Bułgarzy sędziujący to spotkanie odgrywali mi dwa faule w akcjach, w których ja w ogóle nie brałem udziału! Byłem po drugiej strony boiska, nie dotykałem nawet piłki ani żadnego przeciwnika... i sędziowie pokazują mój numer, jako ten, który faulował. Łapię się za głowę... a sędziowie pokazują - techniczny. Co ja mogłem zrobić? Trzeci faul policzyli mi w kolejnej akcji, w której w ogóle nie uczestniczyłem. Trzy faule w trzy minuty - nie do pomyślenia. A wtedy z boiska wylatywało się za cztery przewinienia, a nie jak dziś, po pięciu. Po około siedmiu minutach wyeliminowali mnie z gry - mieli mnie z głowy" - opowiadał po latach Pstrokoński, który w meczu rewanżowym w Madrycie nie zdobył choćby punktu, choć we wcześniejszych trzech występach Legii w tej edycji Pucharu Europy zdobywał zawsze co najmniej 20 pkt. Ostatecznie Legia przegrała wyjazdowe spotkanie z Realem 71:100 (31:51) i odpadła z rozgrywek.

Dwa lata później, po zdobyciu przez Legię piątego mistrzostwa kraju, nasza drużyna ponownie rywalizowała w ćwierćfinale Pucharu Europy z Realem. Legioniści po wyeliminowaniu Alwiku Sztokholm, awansowali bezpośrednio do 1/4 finału, bowiem rywal Legii z 1/8 finału - Benfica Lizbona wycofała się z rozgrywek. Oba mecze rozgrywane z Realem w lutym 1964 roku były bardzo zacięte, ale w obu triumfowali Hiszpanie. W hali Gwardii w Warszawie, Real zwyciężył 102:90, a Pstrokoński zdobył 23 punkty, z kolei w rewanżu legioniści przegrali 86:92, a "Pstroka" ponownie był najlepszym strzelcem naszej drużyny (20 punktów), prowadzonej przez Władysława Maleszewskiego.

Triumf w Pucharze Narodów

Jednym z reprezentacyjnych sukcesów, zdaniem Pstrokońskiego, bardzo niedocenianego w Polsce, był bardzo dobry występ w Pucharze Narodów. "Uważam, że nasz udział w nim to duży sukces polskiej koszykówki. Po dobrych startach na olimpiadach, gdzie udowodniliśmy, że jesteśmy czołową drużyną świata, po startach na mistrzostwach Europy i zdobytych medalach, start w Pucharze Narodów potwierdził, że byliśmy wówczas jedną z najlepszych ekip w Europie. Startując w tej imprezie, pokonaliśmy wszystkie drużyny narodowe z Europy poza ZSRR. (...) W Paryżu wygraliśmy finał, mecz z Francją decydował o wszystkim i zdecydował także o zakończeniu mojej kariery. Końcówka tej rozgrywki była bardzo nerwowa. Trenerzy dali mi polecenie, aby w końcówce trzymać jak najdłużej piłkę i prowadzenie nasze dowieść do końca spotkania. Przez ostatnie 2-3 minuty meczu przetrzymywałem wszystkie piłki, kozłowałem i uciekałem od faulowania. Pewnie niezbyt ładnie to wyglądało, ale liczyło się tylko zwycięstwo. Wygraliśmy. Byłem dumny, że jako kapitan tej reprezentacji odebrałem Puchar Narodów z rąk Roberta Busneta [zachowało się zdjęcie z wręczenia

pucharu - przyp. B.]" - mówił Pstrokoński.

Red. Szeremeta zakończył reprezentacyjną karierę

Jak się jednak okazało, redaktorowi Przeglądu Sportowego, Witoldowi Szeremecie nie przypadł do gustu występ "Pstroki" w Paryżu i otwarcie skrytykował jego grę na łamach PS. "Krew mnie zalała. Zadzwońm do redaktora i w zdenerwowaniu pewnie powiedziałem o trzy słowa za dużo. Od tego czasu zaczęły pojawiać się opinie, że się starzeję, że się kończę, że trzeba odmłodzić skład i tak dalej" - opowiadał.

Brak powołania na mistrzostwa Świata

Mimo wszystko selekcjoner brał pod uwagę "Pstrokę" przy powołaniach na mistrzostwa Świata, choć ostatecznie legionista powołania nie doczekał. "Byłem wtedy bardzo obciążony pracą. Studiowałem, grałem w klubie, urodziła mi się córka i do tego już zaczynałem pracować z poleceniem, że niedługo po zakończeniu kariery wojsko zdecyduje o mojej przyszłości. Taka była procedura w wojsku - coroczne rozmowy kadrowe. Witek Zagórski powiedział mi, że jednak liczy na mnie. Przekładałem egzaminy i starałem się jak najlepiej przygotować do mistrzostw świata. Powołanie na tę imprezę nie przyszło. Trochę to przeżyłem, a mówiąc szczerze, to bardzo mnie ubodło. No trudno, bo zaczynało się nowe życie, nowe problemy i nowe zadania. Przypuszczałem, że stał za tym jednak Witold Szeremeta, który w zarządzie był szarą eminencją" - wspominał pan Andrzej.

Historyczny rzut "Pstroki" na wagę mistrzostwa

Ukoronowaniem kariery klubowej Pstrokońskiego był siódmy tytuł mistrza Polski z Legią w roku 1969. Zdobyty w niesamowitych, wręcz filmowych okolicznościach... "To był właśnie mój 16. ligowy sezon w Warszawie, kończący zresztą moją karierę. Byłem już w tym czasie trenerem reprezentacji żeńskiej, ale jeszcze grałem w koszykówkę. Grywałem już wtedy rzadziej, ale do Gdańska [16 marca 1969 r. - przyp. B.] pojechałem. Przyszła końcówka spotkania, ktoś spadł za faule i trener Majer powiedział do mnie: 'Wchodź i ratuj nas'. I tak rzeczywiście się stało. Ostatnia piłka w meczu, punkt przewagi Wybrzeża - a w przypadku przegranej, przegrywalismy mistrzostwo Polski - do końca zostało parę sekund. Po wznowieniu gry spod własnego kosza piłkę dostał Jacek Dolczewski. Był wystraszony i chcąc pozbyć się odpowiedzialności, oddał piłkę mnie, gdzieś w okolicy stolika sędziowskiego, gdzie wtedy stałem. Wszyscy krzyczeli wtedy: 'Rzucaj!', bo to była ostatnia sekunda spotkania. Zrobiłem krok, rzuciłem jeszcze sprzed linii środkowej i nagle w hali zapanowała potworna cisza... ta piłka jakby leciała godzinę i wszyscy ją obserwowali, ja również. Leci, leci i klap... wpadła czyściuteńko, tylko słychać było trzepnięcie siatki zamocowanej do obręczy. Mecz został od razu zakończony - wygralismy jednym punktem i zdobyliśmy mistrzostwo Polski! Co tam się zaczęło dziać! Cały nasz zespół zaczął skakać ze szczęścia, na trybunach wszyscy złapali się za głowę. (...) Majer mógł wziąć czas, ale było tak mało czasu - została sekunda. Ja jako trener w tym momencie chyba nie wziąlbym czasu. Po straconym koszu i na przykład pięciu sekundach do końca meczu, jakbyśmy wzięli czas, przeciwnik by się dobrze ustawił, zaczął kryć. Każde podanie piłki trwa i oddanie rzutu byłoby utrudnione. A tak po trafieniu Wybrzeża, jego zawodnicy podskoczyli z radości, byli pewni, że wygrali mecz, my tymczasem szybko wymieniliśmy dwa podania, oddalismy rzut i chwilę później był gwizdek oznaczający koniec meczu (...) W niektórych halach były już wprowadzone zegary. Natomiast o wszystkim decydował stolik sędziowski. Dlatego wszyscy krzyczeli 'rzucaj', bo wiedzieli, że skoro po trafieniu Wybrzeża było do końca około 5 sekund, a każde podanie trwa na pewno sekundę, nie można było zwlekać. Rzuciłem i Legia zdobyła ostatnie mistrzostwo Polski" - wspominał Andrzej Pstrokoński, który w ten niesamowity sposób zdobył jedenasty medal w historii koszykarskiej Legii, a po raz siódmy został z Legią mistrzem kraju.

W swojej książce kluczową akcję meczu z Wybrzeżem opisuje następująco: "Włodek Trams i Jacek Dolczewski wyprowadzili piłkę i mieli ją skierować do mnie. Wybrzeże zaczęło kryć nas na całym placu. Do dziś nie wiem, kto wyrzucił do drugiego z końcowej linii, a kto skierował piłkę do mnie. Musiałem się wycofać na swoją połowę placu. Każdy z nich dziś spytany twierdzi, że to on wykonał to podanie. Ja byłem wtedy tuż przy stoliku sędziowskim, na swojej połowie. Zanim piłka doszła do mnie, upłynęły sekundy tak cennego czasu. Dostałem piłkę i zobaczyłem, jak cała nasza ławka wstała i wszyscy wrzeszczeli: 'Rzucaj, rzucaj!'. Odwróciłem się, zrobiłem kozioł i kątem oka zobaczyłem, że sędzia przy stoliku już chciał dać sygnał końca meczu. Zrobiłem krok i rzuciłem w kierunku kosza. Do tej chwili na sali był ogłuszający wrzask kibiców. Jak rzuciłem, to słychać było muchę przelatującą w powietrzu, taka zapanowała cisza. I ten czas lotu piłki trwał wieki. Piłka leciała w kierunku kosza, a sędzia przy stoliku zagwizdał koniec meczu. A piłka leciała i wpadła czyściutko do kosza. Byliśmy mistrzami Polski. To jedno z moich najwspanialszych wspomnień".

Warto sprostować jedynie, że przed rzutem "Pstoki" Wybrzeże nie było na 1-punktowym prowadzeniu, a był remis. Legia do mistrzostwa potrzebowała wygranej. Nie było wówczas jeszcze rzutów za 3 punkty i mimo, że rzut oddany został co najmniej z połowy boiska, legioniści otrzymali za niego dwa punkty. I wygrali 79:77. Dwa punkty dające dziewiętnastą wygraną w sezonie (przy trzech porażkach) i jednocześnie siódmy tytuł mistrza kraju. I trzynasty medal Mistrzostw Polski. Dzięki tej wygranej legioniści wyprzedzili w tabeli Wisłę Kraków i Śląska Wrocław, którzy skończyli sezon z bilansem 18-4. W całym sezonie ligowym 1968/69, Pstrokoński zdobył dla Legii 89 punktów.

Od generała Zygmunta Huszczy, "Pstroka" otrzymał zegarek z napisem "Por. Andrzejowi Pstrokońskiemu za ostatni strzał". "Pstroka" zapytał wówczas Huszcę, skąd taki stopień wygrawerowany na zegarku, skoro jest podporucznikiem. - Dostaliście awans - miał ogłosić generał, który w latach 1965-72 był prezesem WKS Legia.

Trener kobiecej reprezentacji

Jeszcze podczas gry w Legii, Andrzej Pstrokoński został trenerem reprezentacji Polski kobiet. Przez zupełny przypadek. "Włożono mi rękę w gips i nie mogłem pojechać na obóz przygotowawczy z Legią. A muszę przyznać, że chciałem jeszcze jeden sezon pograć w koszykówkę, ale z powodu problemów z ręką grać nie mogłem. Jednego razu przyszedłem do siedziby Związku i w rozmowie przyznałem, że kończę z graniem. Michał Mochacki, który był sekretarzem generalnym PLK, powiedział że jeszcze się wyleczę i będę grał dalej. Następnego dnia zadzwonił do mnie i powiedział, że za dwa tygodnie rozpoczyna się obóz żeńskiej kadry w Wiśle i czy nie pojechałbym na ten obóz. Trener Mięta, który prowadził wtedy reprezentację żeńską, powiedział że chętnie przyjmie mnie do pomocy przy zgrupowaniu. Zgodziłem się. Na miejscu Mięta powiedział, żebym przygotował konspekt treningów i poprowadził zajęcia. Dziewczyny były zaskoczone, bo dla niektórych z nich byłem kolegą, do tego rówieśnikiem. No i zaskoczyło je to, że dostawały ode mnie wycisk, do jakiego nie były przyzwyczajone. Powiedziałem im, że żeńska koszykówka mnie w ogóle nie interesuje. Jak nie będą grały jak mężczyźni, walczyły na boisku, to nie mają czego szukać. (...) Po 2-3 tygodniach dostałem telefon od związku. Tam spotkał się ze mną prezes Kozłowski, który zaproponował mi objęcie pierwszej reprezentacji, wobec rezygnacji dotychczasowego pierwszego trenera" - opowiadał o pierwszych krokach w roli trenera.

A już w 1968 roku na kobiecych Mistrzostwach Europy zdobył z reprezentacją brązowy medal. "Muszę przyznać, że popełniłem jeden błąd. Wiem to z perspektywy czasu. Wtedy moglibyśmy zdobyć srebrny medal. Srebrny, bo Rosjanki były nie do pokonania. (...) Można natomiast było pokonać Jugosławię. Tu dostałem podpowiedź od drugiego trenera, żeby zagrać strefą, bo one nie potrafią rzucać. I to mnie zgubiło. Ja wcześniej nie widziałem meczu Jugosłowiarek. Wcześniej mieliśmy swoją filozofię gry i na ten mecz ją zmieniłem, przewróciłem do góry nogami. Postawiłem strefę, którą za mało trenowaliśmy, a rywalki rzucały ze stuprocentową skutecznością. Goniliśmy wynik, ale nie udało się wygrać. Trzecie miejsce, trzeba jednak pamiętać, było i tak dla nas ogromnym sukcesem" - opowiadał.

Trener Legii przez cztery lata

Na ławkę trenerską Legii trafił w sezonie 1971/72. Po bardzo udanym początku rozgrywek, ostatecznie nasz zespół zajął dopiero dziewiąte miejsce i spadł z najwyższej klasy rozgrywkowej. "Władysław Pawlak zrezygnował z prowadzenia drużyny. Nie było kogo obsadzić na to stanowisko. Próbowano ratować sekcję, żeby się nie rozleciała i ja - nie do końca chcąc tego - zostałem trenerem Legii. Stworzyłem całkiem niezły zespół. Ściągnąłem wtedy Korcza, Kozaka, grał Dolczewski, Żurek, Frołów i po pierwszej rundzie byliśmy na drugim miejscu. (...) Nastąpił rozłam w połowie roku, ponieważ władza wojskowa obiecała, że będą pieniądze za granie. Wtedy już wszystkie zespoły płaciły za grę w koszykówkę. Może nie były to duże pieniądze, ale przynajmniej jakieś premie za wygrane mecze itp. Tylko grająca w czubie tabeli Legia nie płaciła w tamtym czasie. Doszło do buntu czołowych graczy. Jak obiecano mi, że władze dadzą pieniądze, to jakoś dotrwaliliśmy do drugiej rundy na wysokiej pozycji. Jak później musiałem przekazać im, że tych pieniędzy nie będzie, automatycznie skończyła się gra. Popracowałem jeszcze rok, ale brak było zainteresowania ze strony wojska" - wspominał początki w roli trenera Legii.

Legia pod wodzą Pstrokońskiego po zaledwie roku wróciła do najwyższej klasy rozgrywkowej, wygrywając drugą ligę w cuglach. Przygodę z trenerką w Legii skończył w roku 1975. "Sam zrezygnowałem. Już wchodziłem do kierownictwa klubu, kończyłem drugie

studia, chciałem robić karierę w wojsku" - uzasadniał. W późniejszych latach był m.in. kierownikiem sekcji koszykówki, przewodniczącym Koła Seniorów Legii, czy prezesem WOZKosz. Jako wojskowy miał za zadanie zaadaptowanie dawnego hangaru lotniczego na Bemowie na potrzeby sekcji koszykówki. Legia występuje w tym obiekcie od początku lat 90-tych minionego wieku. "Był taki czas, kiedy kierownictwo MON-u powiedziało, że jest możliwość zaadaptowania hali do gry w koszykówkę. Tej, w której obecnie gra koszykarska Legia, przy Obrońców Tobruku. Jak tu pierwszy raz przyjechałem, to naprawdę nie było łatwo się tu dostać, musiałem od tyłu wchodzić przez szerokie drzwi, bo to był hangar lotniczy. Kierowca trochę pomógł mi z tymi drzwiami... a tam zasieki rozłożone, żeby złodzieje nie wchodzili. Rozdarłem przez nie wojskowe spodnie. Przyjrzałem się temu co tam zastałem i uznałem, że jak najbardziej nadaje się na rozgrywanie meczów w koszykówkę. W klubie napisałem, że akceptuję tę halę do adaptacji. I rozpocząłem rozmowy z MON-em - odnośnie pieniędzy itp. To trwało ze dwa lata. W końcu otrzymaliśmy zgodę na adopcję tej sali. Podczas mojej nieobecności w Warszawie, po zabiegach Ś.P. Lewińskiego, salę próbowali 'przejąć' tenisiści - wyłożyli tam wykładzinę i narysowali dwa korty. Walczyłem o to, żeby to jednak była normalna sala, z klepką, gdzie oczywiście mogliby trenować również tenisiści Legii. Awantura wtedy trwała ze dwa miesiące, ale udało się załatwić tak, że powstała tu sala przede wszystkim dla koszykarzy i siatkarzy. Z parkietem i pełnym wyposażeniem. Z gabinetem lekarskim, sauną, prysznicami, pokojami dla kierownictwa, zawodników. Tym sposobem załatwiłem powstanie hali na Bemowie. Całkiem niezłej jak na warunki, które tu zastałem przyjeżdżając po raz pierwszy" - mówił Pstrokoński przed dziesięciu laty.

Galeria Sław

W styczniu 2012 roku, Andrzej Pstrokoński jako pierwszy został włączony do Galerii Sław Koszykarskiej Legii. Miało to miejsce w hali przy ulicy Obozowej, przed meczem ligowym Legii w trzeciej lidze. Pan Andrzej otrzymał pamiątkową koszulkę z nr 9, z którym występował, figurkę koszykarza z odpowiednią dedykacją i pamiątkowe zdjęcie w antyramie. Kibice wywiesili transparent "Andrzej Pstrokoński, wspaniałe 'Dziecko Warszawy'. Legioniści dziękują za wszystko".

W lutym 2019 roku, przed meczem Legii z Arką Gdynia (na poziomie ekstraklasy), Andrzej Pstrokoński raz jeszcze został uhonorowany przez koszykarską Legię. Najbardziej utytułowany zawodnik w historii naszego klubu otrzymał pamiątkową patere, jak również koszulkę ze swoim nazwiskiem i numerem 9. Sekcja koszykówki Legii ogłosiła wówczas, że numer 9 został z dniem 3 lutego 2019 roku zastrzeżony - w historii Legii żaden koszykarz nie będzie występował z tym właśnie numerem.

Wśród odznaczeń wymienić należy Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, który otrzymał od Aleksandra Kwaśniewskiego, kiedy ten był prezydentem RP. Prezydent Warszawy nadał mu odznakę "Zasłużony dla Miasta Warszawy".

Opracował Marcin Bodziachowski

Imię i nazwisko: Andrzej Pstrokoński

Data i miejsce urodzenia: 28.06.1936, Warszawa

Zmarł 24 grudnia 2022 roku

Kluby: Legia Warszawa 1954-70

Mecze w reprezentacji Polski: 200 / 1009 punktów

Sukcesy klubowe:

Mistrzostwo Polski (7) w 1956, 1957, 1960, 1961, 1963, 1966, 1969

Wicemistrzostwo Polski (3): 1955, 1958, 1968

Brązowy medal MP: 1962

Zdobywca Pucharu Polski: 1970

Awans do 1/4 finału Pucharu Europy w 1957/58, 1960/61, 1961/62 i 1963/64

Awans do 1/4 finału Pucharu Zdobywców Pucharów w 1968/69

Sukcesy w reprezentacji Polski:

Srebrny medalista Mistrzostw Europy w 1963 (Wrocław)

Brązowy medalista Mistrzostw Europy w 1965 (Moskwa)

Uczestnik Mistrzostw Europy w 1957 (Sofia, 7. miejsce), 1959 (Stambuł, 6. miejsce), 1961 (Belgrad, 9. miejsce)

Uczestnik Igrzysk Olimpijskich w 1960 (Rzym) i 1964 (Tokio)

Powołany do reprezentacji Europy na mecz z Realem Madryt (1964)